# NASZ PRZYJACIEL

Nr 27 ♦ Wąbrzeźno, dnia 30 lipca 1939 r. ♦ Rok 21


9 niedziela po Zesłaniu Ducha Św.

## LEKCJA

**z pierw. listu św. Pawła do Kor. rozdz. 10, w. 6—13.**

Bracia! te rzeczy stały się w figurze naszej, abyśmy złego nie pożądali, jako i oni pożądali: ani się stawajcie bałwochwalcami, jako niektórzy z nich, jako napisano: Siadł lud jeść i pić i wstali igrać. Ani się porubstwa dopuszczajmy, jako niektórzy z nich porubstwa się dopuścili i legło dnia jednego trzy i dwadzieścia tysięcy. Ani kuśmy Chrystusa, jako niektórzy z nich kusili, i od wężów poginęli. Ani szemrajcie, jako niektórzy z nich szemrali, i poginęli od zatraciciela. A to wszystko przydało się im w figurze, a jest napisano dla napomnienia naszego, na które przyszły końce wieków. Przeto kto mniema, żeby stał, niech patrzy, aby nie upadł. Pokuszenie niechaj was nie zajmuje, jedno ludzkie; lecz wierny jest Bóg, który nie dopuści kusić nad to, co możecie, ale z pokuszeniem uczyni też wyjście, abyście znosić mogli.

## EWANGELJA

**św. Łukasza rozdz. 17, wiersz 41—47.**

**Wonczas, gdy się przybliżał Jezus do Jeruzalem, ujrzawszy miasto, płakał nad niem, mówiąc: Iż gdybyś i ty poznało, i w ten dzień twój, co jest ku pokojowi twemu; a teraz zakryto od oczu twoich. Albowiem przyjdą na cię dni, i obtoczą cię nieprzyjaciele twoi wałem, i oblęgą cię, i ścisną cię zewsząd, i na ziemię cię obalą i syny twoje, którzy w tobie są a nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu; dlatego, żeś nie poznało czasu nawiedzenia twego. A wszedłszy do kościoła, począł wyganiać sprzedające w nim i kupujące, mówiąc im: Napisano, iż dom Mój, dom modlitwy jest. A wyście go uczynili jaskinią zbójców. I nauczał codziennie w kościele.**

## Nauka

**Dlaczego Zbawiciel płakał nad Jerozolimą?**

Płakał 1) z powodu niewdzięczności, zaślepienia i zatwardziałości jej mieszkańców, gdyż nie chcieli Go przyjąć jako Zbawcę; 2) płakał z powodu nadchodzącego jej upadku i 3) płakał, wiedząc, że wszystkie Jego starania i cierpienia dla nich ponoszone będą nadaremnie i bezskutecznemi.

**Któryż to czas był nawiedzenia?**

Był to czas, w którym Bóg posyłał do żydów jednego po drugim proroka i wzywał ich do pokuty, a oni ich wyszydzili, ukamienowali i pozabijali. (Mat. 23, 34). Głównie był to czas Chrystusowego urzędu kapłańskiego, podczas którego sam Pan Jezus tak często głosił naukę Swą zbawczą w kościele jerozolimskim, stwierdzał ją cudami i przez to okazał, że jest Mesyaszem i Zbawicielem świata, ale to zatwardziałe i do pokuty niesklonne miasto wzgardziło Nim i napomnienia odrzuciło.

# KĄCIK DLA DZIECI

## Myśl, słowo i czyny

*Niech myśl twoja tam się zwraca,*
*Gdzie odłogiem rola,*

*Gdzie potrzebna wielka praca*
*I do pracy wola.*

*Niech twe słowo zawsze będzie*
*Jak balsam cudowny.*

*Niech cierpienie koi wszędzie,*
*Gdzie ból niewymowny.*

*Twoje czyny niech się stają*
*Ofiarą brzemienne*

*Niech zawsze skutki mają*
*Dla bliźnich zbawienne.*

## Ofiara serca

— Zosiu, to jutro zdaje się twoje imieniny. Nie wiedziałem, czym by cię ucieszyć, ty sama pewnie najlepiej sobie dogodzisz.

I oto w ręku Zosiu zaszeleściał dwudziestomarkowy papierek.

— Jaki ten wujek dobry, jaki kochany.

Zosia z nadmiaru radości ani w nocy nie mogła spać. Kupi sobie od dawna upragniony zegarek. Taki maleńki, taki sam, jaki ma Hela.

Wcześniej niż zwykle zrywa się Zosia z łóżka i biegnie do kościoła. Trzeba poprosić Pana Boga o błogosławieństwo w dniu imienin.

**W kościele jest prawie jeszcze pusto.** Zosia zajęła miejsce w małej ławeczce, obok jakiejś staruszki. Msza św. jeszcze się nie rozpoczęła. Zosia modli się gorąco. Dziękuje wdzięcznym sercem za to, tak jej jest dobrze na świecie i prosi o opiekę i błogosławieństwo.

Rozległ się cichy głos dzwonka, wychodzi z zakrystii kapłan i Msza św. się rozpoczyna, a równocześnie siada obok Zosi kobieta w średnim wieku, bardzo mizerna i skromnie ubrana. Zakryła oczy rękoma, modli się, a poprzez palce łzy spadają na ławkę. Zosia zaczyna się niepokoić. Przygląda się nieznacznie obok siedzącej kobiecie.

Kogoż to ona jej przypomina? Anię! Ależ tak, naturalnie. Anię, koleżankę. Przecież widziała je kiedyś razem. Tak, to matka Ani! Tam u nich pewnie wielki niedostatek? Ojciec podobno stracił posadę? Dzieci kilkoro. To pewno dlatego Ania nie przynosi z sobą drugiego śniadania do szkoły? Biedni oni... Zosia nie może skupić się i modlić. Ogarnia ją jakiś niepokój.

Dzwonek wzywa do stołu Pańskiego. Obie sąsiadki Zosi wychodzą z ławki. Zosi serce bije jak młotem, stacza z sobą ciężką walkę: — Co począć? Czy kupić zegarek, tak bardzo upragniony, czy — wspomóc matkę koleżanki? Prędko, prędko trzeba się zdecydować.

Szybkim ruchem zza okładki książki wysuwa swój nowy, szeleszczący papierek i nieznacznie ściągnąwszy torebkę p. K. wsuwa tam swój podarek imieninowy, a potem, nie czekając końca Mszy św., czym prędzej wychodzi z kościoła.

W klasie otaczają Zosię koleżanki, całują ją i składają życzenia.

— Zośka! Zocha! Witaj! Winszujemy! Żyj sto lat! Promocji ci życzę! A co dostałaś na imieniny? Powiedz!

Między innymi podbiega i Ania, taka bladziutka i szczupła; tak serdecznym uściskiem obejmuje Zosię, jakby odgadła jej ofiarę.

Zosia przytuliła Anię mocno i czuje się stokrotnie wynagrodzoną za swój czyn.

*

A równocześnie p. K., matka Ani, wracając z kościoła, chciała wstąpić po chleb do piekarni. Już, już zamierzała tam wejść, gdy przypomniała sobie, że przecież wczoraj wydała już ostatnie grosze. Ogarnęła ją rozpacz. Jakże wróci do głodnych dzieci z próżnymi rękoma? Gdyby choć dla chorego Janka można zdobyć bułkę! Ale piekarz nie zechce zaufać i dać na kredyt.

Stała chwilę bezradna, nie zdecydowana, aż łzy zaczęły napływać do oczu, więc sięgnęła do torebki po chusteczkę i niespodziewanie zobaczyła na samym wierzchu dwudziestomarkowy papierek.

— Co to? Co to? — Własnym oczom nie wierzy. Skąd się to tu wzięło? — Zaczyna się zastanawiać, przypominać.

— Tak, tak, już wie, już się domyśla. Idąc do Stołu Pańskiego, zostawiła swoją torebkę, obok siedziała jakaś dziewczynka. Nic innego, tylko to ona właśnie włożyła pieniądze. Ale dlaczego? Pewnie zauważyła jej przygnębienie. Poczciwe, zacne dziewczątko, niech ją Pan Bóg błogosławi za współczujące serduszko! Ona jednakże nie może, nie może, nie chce zatrzymać tych pieniędzy, nie ma prawa! Nie, nie, za nic!

Tak, ale dzieci w domu takie głodne i komorne nie zapłacone... Co będzie gdy zabraknie dachu nad głową? Co zrobić? Boże, co począć!

Wraca do kościoła. Postanawia, że odda pieniądze w zakrystii. Ależ i tam także nie będzie wiadomo, komu je zwrócić.

Uklękła przy ołtarzu Bożej Matki i zakrywszy oczy, zaczęła się gorąco modlić:

— Matko Boska dobrej rady, ośmieć mnie, co powinnam uczynić!

I zdaje się jej, że słyszy głos:

— Idź kup co potrzeba, a gdy twój mąż otrzyma posadę, zwrócisz te pieniądze Towarzystwu św. Wincentego, by wsparło ubogich. Idź w spokoju, a to dobre dziewczątko, to już ja sama wynagradzę.

P. W.

## Kocham cię, lesie...

*Kocham cię lesie,*
*Ty piękny, polski lesie...*
*W letnim poranku,*
*Gdy wiaterek szum niesie,*
*A drzewa szumią bez ustanku,*
*Wtedy — kocham cię, lesie...*

*Kocham cię, piękny lesie*
*Gdyż w głębinach twych wiruje*
*Tajemniczy ruch natury,*
*Bo czar ech twych gdzieś nurtuje,*
*Bo ptaszki śpewają z góry*
*Dlatego — kocham cię, lesie.*

*Kocham cię, piękny lesie,*
*Bo twe śliczne hymny, pieśni*
*Dają takie błogie sny,*
*Bo starych dębów pleśni,*
*Czasem osuszą me łzy,*
*Dlatego — kocham cię, lesie...*

*Kocham cię, piękny lesie,*
*Bo w twych ścieżkach samotnych,*
*Jest pełno tajemniczości,*
*Bo błądząc nimi można śnić,*
*Marzyć i dumać w samotności,*
*Dlatego — kocham cię, lesie...*

*Za to wszystko, polski lesie*
*Kocham cię — i kochać muszę —*
*W tym szumie, co echo niesie*
*Odnajduję swoją duszę.*

## Góra elfów

Była niegdyś góra, jakiej drugiej nie było na świecie. Szczyt jej bowiem miał kształt olbrzymiego grzyba.

Na tej górze znajdowało się duże pastwisko, na którym pastuszek we dnie i w nocy pasał swoją trzodę. Góra ta wraz z pastwiskiem należała z dawien dawna do elfów. Elfy gniewało to bardzo, że murawę, na której zwykły były hasać wesoło i tańczyć, tratowały ciężkie kopyta wołów i krów. Ryk bydła był dla nich nieznośny i doprowadzał je do rozpaczy. I dlatego królowa elfów postanowiła ostatecznie nieprzyjemnych przybyszów wygnać.

Kiedy nastały jasne, księżycowe noce listopadowe i kiedy bydełko syte i ciche wypoczywało na łące, a pastuch w długi płaszcz owinięty liczył gwiazdy i cieszył się blaskiem ich migotliwym, wtedy wystąpiła przed nim królowa elfów, przybierając na siebie postacie coraz to inne, brzydsze i okropniejsze. Raz ukazała mu się jako koń olbrzymi z potężnymi skrzydłami orlimi i ogromnym ogonem smoka; z pyska konia wydzierało się przeraźliwe syczenie i buchały kłęby ogniste.

Nagle zamieniła się w kulawego karła o ogromnej głowie wołu, tańczącego pokracznie wśród płomieni ognistych. Po tym przybrała na siebie postać wielkiej małpy, skaczącej na kaczych nogach i piejącej jak kogut. I długo, długo mógłbym jeszcze opowiadać, jakie postacie potworne przybierała na siebie królowa elfów. Już to błyszczała, już to rżała, to znowu beczała, albo wyła, albo krakała — i to tak, jak dotychczas nik na świecie, nie ryczał, ani rżał, beczał, wył lub krakał.

Biedny pastuch zamykał oczy i zakrywał twarz, ale nic mu to nie pomogło! Jednym dmuchnięciem wyrywała mu płaszcz z przed oczu.

Stał więc biedak jak skamieniały, nawet już oczu nie mógł zamknąć, tylko patrzeć musiał na coraz to straszniejsze pojawiające się potwory. Drżał na całym ciele, włosy jeżyły mu się na głowie i zęby szczękały mu w ustach. A tymczasem bydło uganiało wściekle po pastwisku, jakby kłóte przez niewidzialne osy. Trwało to do samego świtu.

I powtarzało się to co noc.

Biedne zwierzęta chudły i mizerniały dla braku spokoju i wypoczynku; a na domiar złego, jedno nieszczęście ścigało drugie. Nie było nocy, ażeby kilku sztuk bydła nie zatopiło się w trzęsawisku lub nie okaleczało na nogi. Krótko mówiąc, tak okropne działy się tam dziwy i tyle nieszczęść przytrafiało się bydłu, że w końcu nie było już można znaleźć pastucha, któryby się odważył pozostać na pastwisku.

Właściciel pastwiska nie wiedział więc, co począć. Obiecywał wysoką pensję i nagrodę ale wszystko na nic, bo każdy się bał. Ponieważ ilość bydła stale się zmniejszyła i żaden człowiek nie odważył się przebywać nocą na pastwisku, przeto wszystkie elfy — a było ich ogromnie wiele — powróciły tu ako do dawn. swej siedziby. Teraz znowu hasały tu wesoło i tańczyły jak dawniej, upajały się rosą dzwońców, stokrotek i innych kwiatków polnych i ucztowały pod dużymi parasolami grzybów.

A tymczasem biedny właściciel pastwiska ubożał z dnia na dzień, ubożał coraz więcej, tak że wkońcu nie miał już wcale pieniędzy. Przygnębiony więc i smutny chodził po dworze drogą wioski tam i z powrotem i rozmyślał, co będzie dalej.

Ale oto żył w okolicy parobczak, imieniem Wawrzyn, który grał na dudach lepiej, niż ktokolwiek na świecie. Był to hulaka nad hulakami, ale nie wiedział, co to jest strach. Odważny był tak bardzo, że i samemu diabłu, gdyby go tylko spotkał, dobrałby się do skóry. Tego więc Wawrzyna spotkał raz stroskany właściciel i opowiedział mu o swych kłopotach z zaczarowanym pastwiskiem.

— Ho, ho, jeżeli tylko takie kłopoty — zawołał Wawrzyn, — to niech pan na nie gwiżdże! I choćby elfów było tam więcej, niż kwiatów na łące, nie ulęknę się ich. Musiałbym być ostatnim tchórzem, gdybym takim kuszącym pędrakom miał ustąpić choćby na krok.

— Bądź ostrożny ze swoim gadaniem — odparł właściciel — bo pamiętaj, śmiałków psi gryzą; a zresztą sam nie wiesz, kto cię podsłuchuje. Jeżeli jednak dotrzymasz tego, coś powiedział i trzodę moją przynajmniej przez tydzień paść będziesz na zaczarowanym pastwisku, będziesz miał u mnie miskę pełną do końca życia.

Wawrzyn zgodził się na to, i kiedy księżyc wychylił się z za skały górskiej, Wawrzyn poszedł na górę elfów. A gdy już zaszedł na pastwisko, rozsiadł się wygodnie na wielkim kamieniu u wejścia do jaskini i zaczął grać na swych dudach. Nie długo jeszcze grał, gdy usłyszał głosy elfów, które zabrzmiały jak muzyka orkiestry, cicha a nad wyraz cudna. Niebawem jednak elfy wybuchły głośnym śmiechem i Wawrzyn usłyszał wyraźnie, jak mówiły:

— Co, znowu człowiek na naszym królestwie? Idźże, królowo i nastrasz go tak, aby już drugi raz tu nie przyszedł!

Powiedziawszy to odleciały, i Wawrzyn widział, jak frunęły koło niego niby chmara komarów. Ale kiedy spojrzał w górę, ujrzał między sobą a księżycem wielkiego czarnego kota, który stał zgarbiony i straszliwie miałczał. Po tym kocisko wydęło się aż do samych chmur i na lewej tylnej łapie zaczęło się kręcić w kółko szybko, coraz szybciej, aż upadło na ziemię. Wtedy z kota zrobił się w jednej chwili wieloryb z ogromnym butem na ogonie; i na ogonie w bucie zaczął skakać tuż przed Wawrzynem.

— Śmiało, moje kochanie, śmiało — zawołał Wawrzyn — chcesz tańczyć? zgoda, zagram ci na swojej dudce! — I zaczął grać skocznego obertasa.

I tak królowa zmieniała się to w takiego, to znów w innego potwora, lecz Wawrzyn nie ustraszony przygrywał bez przerwy. Ostatecznie jednak królowa straciła cierpliwość i przemieniła się w cielaczka tak białego jak mleko, a który miał oczy łagodne, jak naprzykład ja.

Cielaczek podrygując zabawnie i przymilnie zbliżył się do Wawrzyna; królowa elfów chciała go wpierw dobrocią ująć, a potem wypłatać mu figla.

Ale Wawrzyn był frant nad franty, nie pozwolił wyprowadzić się w pole; kiedy cielaczek był już całkiem blisko, wtedy śmiałek nasz przestał nagle grać i niespodziewanie skoczył cielaczkowi na grzbiet.

Siedział teraz na białym cielaczku, jak na koniu, a królowa postanowiła skorzystać z tego, aby raz na zawsze pozbyć się natręta. Ze szczytu góry skoczyła jednym skokiem w dolinę, przesadziła rzekę i pognała dalej w błyskawicznych skokach, po tym wierzgnęła potężnie i zrzuciła z siebie Wawrzyna na miękką murawę nad rzeką. Ale leżąc na ziemi rozciągnięty jak długi uniósł głowę, spojrzał jej prosto w oczy, zaśmiał się i zawołał:

— Ho, ho, jak na cielaka był to skok wcale nie zły, powiedziałbym nawet — doskonały!

A ona przyjrzała mu się chwilę, po tym przybrała swoją prawdziwą postać i rzekła:

— Wawrzynku, widzę, że z ciebie dzielny chłopiec, czy chciałbyś tak samo jeszcze raz się przejechać?

— I owszem, z największą ochotą! — odrzekł.

Przeto znowu przemieniła się w białego cielaczka, Wawrzyn siadł na jej grzbiecie i trzema skokami była już z powrotem na szczycie góry. I wtedy królowa elfów przybrawszy znów swoją postać naturalną, powiedziała:

— Wawrzynku, okazałeś się chłopcem tak mężnym i odważnym, że odtąd, jak ty pilnować będziesz bydła na naszej górze, nie spotka cię od nas żadna krzywda. Świta już, zejdź więc do twego pana i powtórz mu to; a jeżelibyś miał kiedy jakie życzenia, powiedz, a spełnię je wszystkie. — Powiedziawszy to zniknęła.

Królowa elfów dotrzymała słowa. Dopóty Wawrzyn żył, nie przeszkadzała mu ani razu przy paszeniu bydła na szczycie góry. I on również nie naprzykrzał się jej swymi życzeniami. Grał jeno na swej dudce, jadł i pił na koszt swego pana, wysypiał się za piecem i raz po raz zaglądał do bydełka, pasącego się na górze elfów.

I dzięki temu bydełko rozmnażało się, dobrze się chowało, wypasione było doskonale, no, i właściciel miał znowu pieniądze i już się z tego powodu nie smucił.

# W składanym kajaku z Londynu do Australii

Dwudziesto kilku letni Anglik, L. G. Murray, który na skutek nadmiernego wzrostu nie może nigdzie znaleźć zatrudnienia, postanowił przeprawić się w składanym kajaku z Londynu do Australii. Murray oświadczył swoim kolegom, którzy odradzali mu tę niebezpieczną wyprawę, że pomysł tej podróży zrodził się z rozpaczy. Albo zginę, albo stanę się sławnym i bogatym. Żyć tak jak obecnie dłużej już nie mogę. Jest jednak nadzieja odwiedzenia zrozpaczonego młodzieńca od ryzykownej wyprawy. Grono jego przyjaciół zamierza wstawić się za swym kolegą bądź w armii lądowej, gdzie niedawno ochotnicze zgłoszenie Murraya zostało odrzucone z powodu wzrostu, bądź też w marynarce. W tej sprawie wniesiono już petycję do ministerstwa obrony narodowej podpisaną przez 154 przyjaciół i kolegów londyńskiego olbrzyma.

# Do ślubu na grzbiecie słonia

W jednym z miasteczek położonych nad słynnym strumieniem Colora do rozłożył swe namioty wędrowny cyrk. Zwykłe to zdarzenie tym jednak miało się upamiętać w dziejach miasteczka, że najkapitalniejszy numer programu odbył się nie w ramach cyrkowego przedstawienia, a przy uroczystości zupełnie różnej.

Pod namiotami cyrku zagościł bożek amor. W rezultacie młody dyrektor cyrku i pierwsza akrobatka postanowili związać się na cyrkową dolę i niedolę ślubnym węzłem. Dla upamiętnienia tej ważnej uroczystości postanowiono udać się do kościoła na grzbiecie słonia.

Ku niemałej uciesze publiczności miasteczka którejś niedzieli stanął przed kościołem cyrkowy orszak ślubny. Młoda panna z wdziękiem gazelli zeskoczyła ze słonia, za nią zsunął się trochę ciężko dyrektor. Po skończonej ceremonii ślubnej młoda para znów dosiadła swego czworonożnego towarzysza i majestatycznie ruszyła ku domowi weselnemu wśród wiwatów ludności miasteczka, dla której widok nowo zaślubionej pary na grzbiecie słonia był niemałą atrakcją.

## Lis na plaży

Kuracjusze i letnicy w kąpielisku morskim Brigton mieli w tych dniach niecodzienną emocję. Na złotym piasku wybrzeża pojawił się nagle wspaniały rudy lis, który biegł prosto w kierunku pobliskiego lasu. Plażująca się publiczność rzuciła się w pogoń za lisem, który w kilku susach dopadł do lasu i zniknął w jego ostępach ku nieutulonemu żalowi jego właścicielki, młodej artystki scen londyńskich, która chciała w ten oryginalny sposób zwrócić na siebie uwagę, co dzięki ucieczce lisa udało się jej w całej pełni.

● ▽ ●

## Zbieracz przedmiotów wyrzuconych przez morze

Pewien plantator na wyspie Jawie, mający swą posiadłość na wybrzeżu w pobliżu Batawii, urządził w swej willi muzeum przedmiotów wyrzuconych przez morze. W tym dziwnym muzeum znajdują się obok muszli i innych przedmiotów znalezionych na brzegu morza również butelki wyrzucone przez morze z zawartymi w nich, zapisanymi na kartce tragicznymi zawiadomieniami o zaginionych okrętach i marynarzach.

● △ ●